

Turystyka

Reporterkka „Białego Orła” przez miesiąc pracowała na misji prowadzonej przez ojca

Niebezpieczne okolice, piękne

MARIA KĘSTOWICZ-LECH

Zapraszamy do lektury drugiej części korespondencji-relacji z pobytu na misji w Ekwadorze Marii Kęstowicz-Lech.

28 czerwca - Pracowity poniedziałek

Szykujemy się dziś wszyscy do podróży. Jutro o 5:00 rano cała nasza polska grupa wyjeżdża wynajętym samochodem przez Andy do dżungli. Będziemy w podróży 4 dni. Zatrzymamy się na krótko do Quito żeby odebrać z lotniska Bożenkę i Jessicę, które przylecą z Houston. Przed nami więc sporo atrakcji. Mamy nadzieję na szczęśliwą podróż. Właśnie dotarła do nas wiadomość, że na jeden z liniowych autobusów z Ventanas do Guayaquil był rabunkowy napad. Ta wiadomość ostudza naszą radość. Za poradą ojca Jana zabieramy ze sobą kopie paszportów i tylko trochę pieniędzy.

Dziś kontynuujemy także nasze zajęcia z dziećmi. Bardzo pracowity dzień. Radość jest ogromna, bo dzieci dostają od Uli swoje duże zdjęcia, które kilka dni temu zrobili im ojciec Jan i Ula. Każde dziecko robi ramkę według własnego projektu, w którą wkleja portret. Zdjęcia zostaną umieszczone na wystawie w holu na parterze do naszego ostatniego dnia pobytu w Ventanas, a potem dzieci zabiorą je do domu. Na lekcji muzyki śpiewamy polskiego Krakowiaka po hiszpańsku i po polsku. Znalazłam naszego Krakowiaka w podręczniku ekwadorskiej szkoły podstawowej ze

słowami hiszpańskimi pt. „Siete Enanitos” co znaczy „Siedem krasnoludków”. W tym samym śpiewniku są inne polskie melodie m. in. kanon „Jak to miło w wieczór bywa...” i „Mazur”. Zastanawiam się jak tu trafiły.

Dziś jest też dzień prezentów. Wszystkie dzieci należące do misji otrzymują ubranka, które dla nich przywieźliśmy z Houston. Każde sobie coś wybiera. Dziewczynki wychodzą z misji w nowych bluzeczkach, spodniach, spódniczkach.

Ja mam długą lekcję fortepianu z proboszczem Francisem, który ćwiczy teraz codziennie gamy i pasaża oraz łatwe utwory fortepianowe. Najczęściej w nocy.

Na obiad wśród wielu pyszności mieliśmy nasze polskie naleśniki usmażone przez Słowaka Jorge, który jest już blisko rok na misji. Nauczył się mówić biegle po hiszpańsku. Dzieci go znają i lubią.

Zdecydowałam się adoptować 11-letniego chłopca. Nazywa się Dandy Jafet.

3 lipca – Niezwykła podróż przez Andy

Na wcześniej zapowiedzianą przez ojca Jana wycieczkę wyjeżdżamy we wtorek 29 czerwca o 5:00 rano. Wciąż jesteśmy niepewni, jak się nam uda podróż. Cieszymy się, ale i boimy nieznanego. Wiemy przecież, jak niebezpieczny jest ten kraj. Napady, rozboje, kradzieże są na porządku dziennym. Czyhają na nas różne choroby. Do instrukcji ojca Jana odnośnie ilości pieniędzy, odpowiedniego ubrania i dokumentów dodajemy trochę własnych



pomysłów. Przygotowujemy kawę do termosu. Kupujemy z Ulą 30 pysznych maślanych bułeczek nadziewanych czekoladą lub serem w kolumbijskim sklepiku (na wszelki wypadek) i bierzemy spory zapas wody do picia. Ksiądz się dziwi. „Przecież zatrzymamy się na śniadanie po drodze, a wodę w butelkach można wszędzie kupić” mówi. Ale my wiemy swoje, nie będziemy przecież jeść nigdzie po drodze, bo to niebezpiecznie, bo można się zatruć.

Wsiadamy do Nissana wynajętego przez ojca Jana. Mammy dobrego kierowcę Alexa z zaufanej, przewozowej firmy. Długa droga przed nami. Przez 4 dni będziemy się przemieszczać z miejsca na miejsce i zwiedzać. Co nas czeka?

Pierwszy dzień to przejazd przez Andy do najsłynniejszego kurortu w Ekwadorze - Banos. Zaczynamy podróż wzdłuż nie kończących się plantacji bananów (Dole i Bonita, właścicielem firmy Bonita jest najbogatszy człowiek w Ameryce Łacińskiej - No Boa), plantacji mango, pól ryżowych, kakao. Pada deszcz, dookoła gęsta mgła. W krótkim czasie dojeżdżamy do gór. Krajobraz się zmienia. Im wyżej, tym mniej drzew. Jest chłodniej. Jedziemy serpentynami, widok gór nas zachwyca. Droga jest wąska. Z jednej strony głębokie przepaści, z drugiej pionowe skalne ściany.

Nagle, na wysokości około 4000 m., spoza chmur wyłania się ośnieżony czubek wulkanu Chimborazo. To najwyższy szczyt Ekwadoru (6310 m). Wygląda niezwykle

dostojnie. Robimy zdjęcia, dużo zdjęć. Trzeba jechać dalej. Zatrzymujemy się na chwilę w Ambato, miasteczko położone na wysokości 2577 m. Spotykamy Indian ubranych w piękne kolorowe stroje ludowe, dużo ostrej czerwieni, zieleni i błękitu. Mają poncha, małe kapelusze. Znow robimy mnóstwo zdjęć. Miasto jest bardzo ładne. Po trzęsieniu ziemi w 1949 r. zostało odbudowane bardzo nowocześnie, jak przystało na XXI wiek. Z czasów kolonialnych wiele nie zostało.

Jedziemy dalej, spieszymy się, żeby dojechać przed zmrokiem do Banos, gdzie czeka na nas sporo atrakcji. Po zakwaterowaniu w hotelu (\$10 od osoby), który mieści się przy głównym placu miasta, idziemy na spacer. Oglądamy sanktuarium Virgini of Banos, znanej jako Nuestra Senora del Agua Santa (Matka Boska Różańcowa od święconej wody). Dla ludzi z Ekwadoru jest to miejsce święte. Widzimy osoby, które idą do ołtarza na kłęczkach. Przed samym ołtarzem pali się mnóstwo świec. Kościół jest piękny. Ołtarz jest w kolorze czerwonym i złotym.

Jedziemy na krótką wycieczkę na szczyt góry, z której roztacza się piękna panorama miasta a także widać ośnieżony szczyt niespokojnego wciąż wulkanu Tungurahua (5023m.)

Wracamy do miasta, gdzie oglądamy z bliska piękny wodospad. Tuż obok znajdują się baseny z ciepłą, trochę mętą, żółtą wodą z wnętrza wulkanu. Ta woda ma właściwości lecznicze i spo-



Turystyka

Jana Koczego w Ekwadorze - cz. II

krajobrazy

ro osób przyjeżdża tu na kąpiele. Goście siedzą w basenie, zanurzeni po szyję w wodzie, wymieniają spostrzeżenia, nawiązują znajomości. Przypomina to miłe spotkanie towarzyskie. Nasze dziewczyny, Agatka i Dominika mają powodzenie, wielu przystojnych chłopców stara się nawiązać z nimi kontakt, wszystko jednak pod czujnym okiem Ojca Jana, Uli i moim.

Dowiadujemy się przy okazji, że Banos jest najbezpieczniejszym miastem Ekwadoru. Można nawet iść na dyskotekę. Zmęczenie jednak bierze górę i po kolacji w restauracji „Bongiorno”, gdzie można zjeść pstrąga z grilla, napić się dobrego wina z Chile, idziemy spać. Nauczyliśmy się tego dnia że życie w Ekwadorze może być bezpieczne, a jedzenie w restauracji jest wielką przyjemnością. I przede wszystkim, że są w Ekwadorze niezwykłe miejsca, jak wspaniałe niebosiężne góry, przez które właśnie przejechaliśmy, czy wulkany, niektóre nawet jeszcze czynne. Mieszkają tu przyjaźni, spokojni ludzie. Jest czysto, schludnie. Ładna architektura.

Drugi dzień podróży

Pobudkę mamy o godz. 7:00 i po smacznym śniadaniu w hotelu wyjeżdżamy przez Puyo do Teny. Nasz kierowca mówi, że będziemy przejeżdżać przez 7 tuneli, wykutych w skałach. Może być ciekawie...

Z Banos, które leży na wysokości 1800 m. do Puyo 950 m. jest tylko 61 km. Spędzamy tu jednak większą część dnia. Droga nazywa się La Ruta de las Cascades - autostrada wodospadów. Jest tych wodospadów 12 i wszystkie są zachwycające. Przy przejeździe przez most na rzece Rio Negro widzimy grupę młodych ludzi skaczących z mostu. Stajemy więc, żeby

zobaczyć z bliska ich skoki. Skacze kolejno kilka dziewczyn z USA, które jadą tędy na wycieczkę autobusem. My też dostajemy zaproszenie, żeby spróbować. Za skok płaci się \$15. Nigdy bym się nie odważyła. Jednak Dominika i Agatka decydują się bardzo szybko i po krótkim instruktażu skaczą w przepaść, głową w dół przyczepione do liny specjalnymi szelkami. Głęboko w dole płynie kamienista rzeka. Wszyscy jesteśmy zdumieni ich odwagą. To niebywale!

Dominika mówi już po skoku: „To było super przeżycie z odpowiednią dawką adrenaliny. Bardzo mi się podobało.”

Jedziemy dalej i w pewnym momencie okazuje się, że droga jest zasypana przez lawinę kamieni i błota. Wycofujemy się. Jest wąsko do miejsca, gdzie można zawrócić. Znajdujemy inną drogę, którą pojedziemy dalej.

18 km od Banos w wiosce Rio Verde znajduje się jeden z najbardziej znanych wodospadów w Ekwadorze, Pailon del Diablo. Robimy 15-minutowy spacer ścieżką przez gęsty subtropikalny las, żeby do niego dotrzeć. Wodospad jest potężny. Głęboko w dole płynie rzeka. Przejdziemy na drugi jej brzeg wiszącym mostem. Na nim może znajdować się jednocześnie nie więcej niż pięć osób. Fotografujemy wodospad z mostu, a potem z pomostów na różnych wysokościach. Woda z ogromnym hukiem, z niesamowitą siłą spływa tuż koło nas. Jesteśmy w krótkim czasie przemoczeni od unoszącej się w powietrzu pary wodnej. Wodospad można obejrzeć od wewnętrznej strony przyciskając się prawie na czworaka pomiędzy skałami. Zapamiętamy to miejsce na zawsze, jest przecież tak wyjątkowe.

W drodze powrotnej do samochodu Agatka i Dominika

spotykają ekipę filmową z TV UNO i udzielają wywiadu. Materiał ukazać się powinien następnego dnia w ogólnokrajowym programie. Mówią o swoich wrażeniach z Ekwadoru, z wycieczki do Pailon del Diablo. Informują, że przyjechały z Houston.. Co za dzień! A to przecież jeszcze nie koniec atrakcji. Po krótkiej podróży zatrzymujemy się nad rzeką Pastaza i wagonikiem kolejki przenosimy się 500 m na drugi brzeg na wysokości 100 metrów nad wodą. Widoki wspaniałe. Łańcuchy gór w chmurach podświetlone słońcem, a w dole szeroka rzeka. Robimy oczywiście mnóstwo zdjęć. Przed trzema miesiącami po silnych deszczach z gór zeszła lawina błota tak potężna, że zniszczyła domy. Zginęło kilka osób, lawina zniszczyła restaurację. Obok wodospadu o romantycznej nazwie „Manto de la Novia” co znaczy „Welon Panny Młodej” pokazał się drugi wodospad. Teraz są dwa, blisko siebie. Przejeżdżamy znów krotki odcinek drogi, zatrzymujemy się przy wiszącym moście i wędrujemy po nim na drugą stronę rzeki. Most się kołysze, wpada w drgania, podnosi nam ciśnienie krwi.

Jesteśmy głodni, zatem szukamy restauracji w Puyo. Znajdujemy jedną o nazwie „Europa” i oto nasze krótkie, pozytywne doświadczenia odnośnie kuchni ekwadorskiej pękają niczym mydlana bańka. Czekamy w nieskończoność na nasze zamówione dania, butelki z wodą, którą zamówiliśmy, przyniesiono ze sklepu, mięso nie jest zjadliwe. Co to za „Europa”? Po obiedzie ruszamy do Teny, gdzie będziemy nocować. W pewnym momencie kierowca gubi drogę. Kończy się asfalt, jedziemy coraz węższą, szutrową ścieżką. Dookoła dzika, gęsta dżungla. Robi się coraz ciemniej. Ojciec Jan nie



Fot. Maria Kęstowicz-Lech

martwi się, a Indianie, których od czasu do czasu spotykamy, mówią mu, że jedziemy dobrze. „Trzeba im wierzyć” mówi. Ula cieszy się, że mamy niepowtarzalne widoki i robi zdjęcie za zdjęciem. Ja przejmuję się sytuacją. A co będzie jeśli ta ścieżka będzie się wiać przez dżunglę bez końca? Docieramy ostatecznie do asfaltowej drogi, tyle że do Teny trzeba zawrócić, bo wyjechaliśmy daleko... daleko. Cieszę się, że przygoda zakończyła się szczęśliwie.

Tena to ciche, spokojne miasto. Znajdujemy dobry hotel i idziemy do pizzerii, którą poleca nam ojciec Jan. Pizza jest smaczna, a Monika, która nas obsługuje, mówi czteroma językami. Przyjechała tu z Quito, żeby trochę pomóc rodzinie.

Idziemy spać, nie przypuszczając nawet, co nam przyniesie dzień następny.

7 lipca - W tropikalnej dżungli

Ojciec Jan zarządza pobudkę o godzinie 6:00. To dopiero świt, pada deszcz, dookoła jest szaro i mgliście. Wyjeżdżamy do Misahuali, małego miasteczka w dżungli. Tam jemy śniadanie w skromnej restauracyjce. Zamawiamy jajecznicę, kawę z mlekiem, pieczywo i soki. Te wyciskane są z owoców, których nie znamy, a które nam bardzo smakują, np. granada, naranjilla, tomaty de arbol. Pytam czy owoce są wymyte w płynie odkażającym. Zawsze pytam.

Z miejsca gdzie siedzimy, widać centralny plac miasteczka, a na nim bawią się małpy! To kapucynki, bardzo

zabawne i sprytnie. Podobno mają mózgi 5-letnich dzieci. Podchodzimy do nich bliżej. Jesteśmy uprzedzeni, że powinniśmy być ostrożni, a i tak jednym szybkim ruchem wyciągają butelkę z wodą z torby Daniela, odkręcają wieczko i piją jej zawartość, kradną okulary Agatce, na szczęście zrzucają je za chwilę z drzewa, odpinają guziki kieszeni spodni ojca Jana i sprawdzają zawartość. Bawią się z nami jak małe dzieci, zaczepiają nas, przyczepiają się do naszych ubrań. Ależ wesoło!

Deszcz się zmniejsza. Wyruszamy na piechotę do pobliskiej przystani rzeki Rio Napo, gdzie czeka na nas Leonardo, Indianin z plemienia Kichwa, nasz przewodnik. Rozdaje nam kalosze sięgające do kolan, kamizelki ratunkowe i zaprasza, byśmy wsiedli do canoe, wąskiej i długiej indiańskiej łodzi. Będziemy płynąć około 20 km przez dżunglę. Dla chętnych rzuca duże dętki, na których można płynąć z nurtem rzeki. Podobno jest to świetna zabawa. Oczywiście Dominika, Agatka, Daniel wybierają dętki i płyną z ojcem Janem i naszym kierowcą Alexem. Ula i ja zostajemy w canoe, robimy zdjęcia, zachwycając się widokami, a Leonardo pokazuje nam miejsce, gdzie rozłożyli swój obóz poszukiwawcy złota i przesiewają piasek w dużych sitach. „Tak, tu jest sporo złota” - mówi.

Po 3 godzinach dopływamy do miejsca, skąd wyruszamy na piechotę w dżunglę. Wciąż pada deszcz, woda kapie z drzew. Błoto wręcz straszne. Ślizgamy się w ka-

loszach posuwając się powoli za Leonardo. Wciąż pod górę, podobno około 1 kilometra. Leonardo co chwilę przystaje, ścina dla nas kije, którymi się podpieramy dla bezpieczeństwa i opowiada o życiu w dżungli. Pokazuje różne rośliny przydatne do budowy domów. Opowiada i pokazuje jak się plecie liście palmy, żeby powstało przykrycie dachu. Z tych samych liści robi się zresztą też eleganckie spodniczki. Widzimy grzyby, które można jeść, i których jeść się nie powinno, grzyby halucynogenne, wędrujące palmy, piękne kwiaty, jak heliconie. Uczy nas jak sobie poradzić w razie niebezpieczeństw. Jesteśmy zdumieni organizacją życia w tak przecież ekstremalnych warunkach. Wszyscy dostajemy drobne prezenty. Mnie przypadł ciekawy kapelusik z liścia palmowego, świetnie chroniący od deszczu. Moglibyśmy tu zostać dłużej, wybieramy jednak krótszą trasę, bo musimy zmieścić się w czasie. Przed nami, tego samego dnia, jeszcze jedna niesamowita wyprawa, a wieczorem musimy być w Quito odebrać Bożenkę i Jessicę z lotniska.

Wracamy do canoe i płyniemy do Misahuali. Jesteśmy zmęczeni, ale pełni wrażeń i szczęśliwi, że byliśmy w prawdziwej dżungli, w warunkach, których większość turystów unika, wybierając wygodę i odpoczynek. To ścieżki ojca Jana, był już tu kilka razy i wybiera dla nas wszystko, co najlepsze. □

Ciąg dalszy nastąpi...

